EPOKA

ROK VI. Warszawa, 25 maja 1939 r ROK VI. Nr 15 (154)

Treść: *WŁ. WEYCHERT-SZYMANOWSKA*: Służymy sprawie wolności. — Dekada polityczna: Odwrót? Dęta orkiestra zamiast anschlussu. Sojusz włosko-niemiecki. Rzesza umacnia pozycje. Franco trwa przy osi. Partyzantka na obu półkulach. Monachijczycy przy robocie. Trudności nowego Monachium. Polska na posterunku. — Witamy kongres pedagogiczny. — *CZESŁAW WYCECH:* W 20-lecie Sejmu Nauczycielskiego. — *LEON KRUCZKOWSKI:* Patrząc na fort Loncin... — *ROMAN LANG:* Gdzie są prawdziwe Niemcy? — *PARISIEN:* Entuzjazm dla Polski na Konferencii Demokratycznej w Paryżu. — *WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO* fragmenty krytyki „Legendy Młodej Polski". — T. N. S. W. w dziejowej chwili. — Z dnia na dzień.

Służymy sprawie wolności

Przeżywamy wielką chwilę historyczną. W 20 lat po zdobyciu niepodległości, wywalczonej, wyśnionej, wymarzonej przez całe pokolenia, zagrożone zostały granice, samodzielność polityczna, gospodarcza, suwerenność państwa i wolność narodu. I stał się cud. W obronie tego bezcennego skarbu, którego wartość dokładnie rozumieją ci, co przeżyli niewolę, a odruchowo wyczuwają młodzi, stanęli wszyscy, z decyzją, że go nie oddadzą. Stanął ten wymarzony przez Słowackiego „wielki posąg z jednej bryły, tak hartowny, że w gromach nie pęknie".

Sprawa wolności Polski stała się kamieniem, o który potknęła się buta hitleryzmu, hypnotyzująca państwa demokratyczne. Od razu prestiż osi Rzym — Berlin skurczył się jak balon, z którego ucieka powietrze. Zrozumiano, że można jej się przeciwstawić. I to jest wielką zdobyczą, która musi się odbić nie tylko na politycznych stosunkach międzynarodowych, ale na atmosferze duchowej całego świata. W okresie powojennym bowiem toczy się gigantyczny bój nie tylko o granice i rynki handlowe, kolonie, prestiż tych czy innych potencyj, ale o podstawy moralne w stosunkach międzyludzkich.

Pod naporem przemian ustrojowych zachwiały się dawne bóstwa, zaczęły powstawać nowe ideały. Ścieranie się tradycji z nowymi formami, z nową treścią ludzkich zamierzeń wytworzyło chaos, w którym niezmiernie trudno się zorientować, co upada, a co należy do przyszłości. Przedstawiciele ustroju kapitalistycznego, zagrożonego w swych posadach, głoszą bankructwo demokracji, chcą mocnym ujęciem w ręce steru rządów uratować to, co jest przyczyną kryzysu — wyzysk mas, ludzi pracy przez jednostki, dzierżące w rękach pieniądz. Z tego źródła rodzi się idea wodzostwa, genialnych jednostek kierowniczych i martwej, bezmyślnej karności tłumu, który pociągany do najwyższych ofiar w imię interesu państwa i narodu, nie ma prawa kontroli nad sposobami zużytkowania tych ofiar. Tak powstaje ideologia faszyzmu we wszystkich jego odmianach, ideologia, która się szerzy nie tylko w państwach osi Rzym—Berlin, ale i w wielkich i małych demokracjach.

Niesłychanie ciężki dla całej Europy okres agresji Niemiec i dyplomacji wielkich demokracyj, dyplomacji dziwnie słabej i ustępliwej i mało przewidującej, jest następstwem przewagi wpływów wielkiego kapitału międzynarodowego w dyplomacji angielskiej i francuskiej. Demagogicznie głosi się pokój za wszelką cenę, a równocześnie zaciska się łańcuch wyzysku w stosunkach wewnętrznych, np. we Francji, gdzie się odbiera ludności robotniczej zdobycze rządu Bluma.

Tym politycznym i gospodarczym posunięciom odpowiada ciągła, nieustępliwa walka ideologiczna, któ-

ra przesyca całe życie społeczeństw europejskich. Powodzenie hitleryzmu odbija się w ideologii jako zwycięstwo zasady siły przed prawem i brutalnego egoizmu pewnych grup społecznych, czy narodowych i wyznaniowych w stosunku do innych, czego dobitnym przykładem jest eksterminacyjny antysemityzm, który ogarnął wszystkie kraje, będące pod wpływami niemieckimi.

W tej chwili dzięki załamaniu się powodzenia Hitlera w polityce, ideologia brutalnej siły, bezwzględności w stosunku do słabszych, uznania dla egoizmów rasowych, narodowych i wyznaniowych, traci najistotniejszą swą podstawę. Musi się zrodzić krytyka w umysłach tych, którzy skłaniają głowę przed każdym triumfem siły brutalnej.

Krytyka ta już powstaje. Gdzieś z zakamarków, w których się chroniła, wychodzi na światło wolność, jako wielka idea w wieńcu laurowym; przypomina się jej bolesne ofiary i zwycięskie trofea.

U nas, w kraju, w którym walka o wolność narodu rodziła się zawsze w sercach najlepszych, najczystszych, a przeważnie nie należących do wielkich tego świata; w którym idea niepodległości wiązała się zawsze wśród walczących z wielkimi ideałami społecznymi, z ideą Polski Ludowej, szerokie masy stają do apelu o obronę narodową i swą gotowością stwierdzają, że nigdy nie zwątpiły o swym czynnym prawie do brania udziału w życiu i losach Rzeczypospolitej.

Chociaż zazwyczaj wiele się mówi o bezpartyjności szkoły, faktem jest, że odbijają się w niej zawsze panujące prądy społeczne i polityczne. U nas w czasach niewoli szkoła była wysuniętą placówką walki o wolność. Tradycja bojowości szkoły wypaczyła się pod tchnieniem idei faszystowskich, ale nie zamarła.

Wpływ idei i stosunków politycznych i gospodarczych na szkołę sprawia, że nauczyciele czy chcą, czy nie chcą wciągani są w wir najbardziej istotnych walk dzisiejszego życia i nie mogą być neutralni w gigantycznej walce, w której po jednej stronie barykady stoją ci, co głoszą genialność wodzów i konieczność karnego posłuszeństwa tłumów, — po drugiej ci, co nie zwątpili o człowieku i jego prawach, jako o źródle twórczości, postępu i szczęścia powszechnego.

Bój trwa i trwać będzie długo. W stosunkach politycznych stoimy u granic z bronią u nogi, gotowi do odparcia ataku na wolność naszego narodu i państwa w przeświadczeniu, że służymy sprawie wolności w ogóle. W walce idei nie możemy czekać, bo zwycięstwo prawa do życia i rozwoju, do oświaty i kultury każdego człowieka w Polsce jest najtęższą zbroją naszą w walce z wrogiem zewnętrznym, który nam grozi w tej chwili.

Znaczenie nauczycieli w tej walce idei jest tak wielkie i widoczne, że nie trzeba go dowodzić. Wystarczy uprzytomnić sobie, że obowiązkiem naszym jest stanąć na tej placówce, jak stanęliśmy na placówce walki o niepodległość.

Wobec wielkich ciężarów materialnych, jakich wymaga chwila, trudno mówić o realizacji może najistotniejszego postulatu szkoły i oświaty demokratycznej, o powszechności nauczania. Ustawa z 1932 r. powinna być jednak na nowo przepracowana i odrzucone z niej być muszą najbardziej rażące błędy, zwłaszcza dotyczące organizacji szkolnictwa wiejskiego. Młoda wieś dźwiga się kulturalnie zupełnie samodzielnie. Wyzyskanie tego żywego czynnika społecznego w budowie szkolnictwa jest sprawą pierwszorzędnego znaczenia.

W całym zresztą zagadnieniu szkolnym i oświatowym należy zawrócić z drogi rygorystycznego biurokratyzmu na drogę współpracy całego społeczeństwa dla celów, które rozumieją dziś jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie szerokie masy robotnicze, chłopskie i inteligencji pracującej, wśród której czołowe miejsce pod tym względem zajmują nauczyciele. Wciśnięci w ciasne i twarde ramy urzędnicze, są oni mimo to w olbrzymiej większości ideowymi pracownikami społecznymi. Bardzo charakterystyczne pod tym względem były głosy na ostatnim zebraniu członków oddziału warszawskiego. Koleżanka Dargielowa przypomniała, że według prawa wewnętrzne życie szkoły należy do Rady Pedagogicznej. W dyskusji podkreślano, że nauczyciele nie powinni przesadzać w swych obowiązkach biurokratycznych, podkreślano gotowość członków Z. N. P. do podpisywania pożyczki, niezależną od takich, czy innych zarządzeń, akcentowano jednolitość postawy, a nie rozkazu. Czuć było tęsknotę za wolnością w pełnieniu obowiązków, płynących z nakazu wewnętrznego, tęsknotę do tego, aby móc być twórcą, a nie rzemieślnikiem. Z tych też niewątpliwie przyczyn bardzo wyraźnie zaznaczył się stosunek niechętny, a nawet wrogi do oficjalnych ram partyjnych, w jakich niektórzy chcieliby zamknąć patriotyzm nauczycieli. O. Z. N. — monopartyjność nie ma podstaw w naszym świecie. Jest to niewątpliwie wynik psychicznego nastawienia demokratycznego. Aby jednak w szkolnictwie pracować jako demokrata, należy zrobić rewizję i wykreślić naleciałości światopoglądowe, które narzuciły się ludziom i weszły do oficjalnych programów, podręczników, metod w okresie upajania się siłą zwycięską, potęgą i przyjaźnią Hitlera. Jest to konieczny składnik naszego dozbrojenia moralnego.

WŁ. WEYCHERT-SZYMANOWSKA

„Zważywszy, że naród polski nie może dopuścić i nigdy nie dopuści do grabieży Gdańska przez Niemcy i że w obecnej sytuacji aneksja Gdańska przez faszyzm hitlerowski byłaby aktem agresji i prowokacji nie tylko wobec Polski, ale wobec całej Europy — konferencja ustala, że wszelka skuteczna pomoc musi być udzielona Polsce w razie napaści — gdyż tylko taka możliwość może powstrzymać Niemcy Hitlera od sprowokowania takiej agresji."

Uchwała paryskiej konferencji w obronie pokoju i wolności, odbytej w dniach 13 i 14 maja przy udziale delegatów 28 państw.

Dekada polityczna

Odwrót? Nie, — tylko przyczajenie.

Przeżyliśmy dekadę naprężonego wyczekiwania. Przecież właśnie na tę dekadę przypadał poniedziałek 15 maja, dzień parady S. S. w Gdańsku, dzień, w którym, jak zapowiadały trwożliwe, krążące po stolicach Zachodu, pogłoski, Rzesza miała wyciągnąć rękę po „niemiecki Gdańsk". Przecież — właśnie w tej dekadzie upływało piętnaście dni od mowy kanclerza Trzeciej Rzeszy, od mowy po której „Danziger Vorposten" pisał o „terminach krótkich i ściśle przestrzeganych". Nie stało się jednak nic.

Zdecydowane stanowisko Polski, poparte, mimo wszystko, przez niedwuznaczne oświadczenie Anglii i Francji, zrobiło swoje. Rzesza, mając do wyboru pomiędzy odwrotem — ściślej mówiąc, pozostaniem na dotychczasowych pozycjach — a światowym konfliktem, wolała na razie posiedzieć cicho. Jeszcze jeden dowód słuszności stanowiska „stronnictwa oporu", głoszącego, że jedyna droga zahamowania ekspansji i agresji osi, to przeciwstawienie jej zwartej siły, dostatecznie wielkiej, by się bała z nią zadzierać.

Powiedzieliśmy: na razie. Bo jeśli słusznym jest niewątpliwie, że zdecydowana, mocna i stanowcza postawa jest jedyną drogą maksymalnego zabezpieczenia się od osiowych niespodzianek, to nie znaczy to bynajmniej, by sama postawa wystarczała zawsze, by można już spocząć na laurach. Być może, jeszcze przed półtora rokiem, przed zaborem Austrii, porozumienia typu tych, które już zostały zawarte lub zostaną zawarte w najbliższym czasie, byłyby ostatecznie i definitywnie wystarczyły do osadzenia osi w miejscu. Dziś sprawa jest bardziej skomplikowana. Dziś oś ruszyła już w swój fatalny marsz ku panowaniu nad światem i nie wiadomo, czy bez użycia zbrojnej siły będzie ją można zatrzymać. W ciągu tych półtora lat wyrosła przecież na południowej granicy Francji włosko-niemiecka kolonia, zwana „narodową Hiszpanią", granice Rzeszy przesunęły się z Sudetów na grzbiet Tatr i Karpat, zajęcie Wiednia zamieniło Węgry w faktyczny protektorat Berlina. Jedno wiadomo na pewno: że jeśli można będzie jeszcze zatrzymać oś bez rozlewu krwi, to tylko pod warunkiem jak najbaczniejszej czujności, zdecydowania i zwartości bloku pokojowego.

Bo to także nie ulega wątpliwości: że dotąd oś nie zrezygnowała z żadnego ze swych żądań, z żadnej ze swych aspiracji. W szczególności: jasne jest i oczywiste, że Rzesza nie zrezygnowała ze swych apetytów na ziemie polskie i prawa w Gdańsku, że przyczaiła się tylko, czekając dogodniejszej chwili do napaści. Dlatego nie „rozbrojenie psychiczne" lecz dalsza, niestrudzona czujność i pełna mobilizacja psychiczna, wykorzystanie w służbie Rzeczypospolitej wszystkich sił społeczeństwa i kraju jest nakazem dnia dla polityki polskiej.

Dęta orkiestra zamiast Anschlussu.

Ciekawe musiały być nastroje hitlerowców gdańskich, kiedy po wydrukowaniu iluś tam setek tysięcy kartek „plebiscytowych", po napływie do Gdańska iluś tam dziesiątek tysięcy „turystów", z przyzwyczajenia nawet w cywilu salutujących po wojskowemu, po głośnych i hucznych deklaracjach p. Forstera — nagle dowiedzieli się, że w oczekiwanym długo dniu 15 maja odbędzie się w Gdańsku... koncert dętej orkiestry królewieckiej S.S. Przyczyny tego nagłego zainteresowania hitlerowców gdańskich dętymi instrumentami muzycznymi, zamiast dętej polityki ich partii, są oczywiste.

Znamy je ze sprawozdań prasy zagranicznej: wiedzieli panowie z Senatu gdańskiego, że wystarczy próba jakiegoś „puczu", czy innego przejawu „spontanicznej woli niemieckiego Gdańska", by, siedmiu drogami, z polskiej granicy ruszyły ku Gdańskowi wojska polskie. Oddziały Reichswehry natomiast, z wyjątkiem „turystów", wystarczających wprawdzie do rozprawienia się z bezbronnymi Polakami gdańskimi, ale, mimo wszystko, nie posiadających ani czołgów ani ciężkiej artylerii, były oddzielone od Gdańska Nogatem, przez który nie zdołałyby już przejść. Tak jest, koncert królewieckiej orkiestry dętej był wyrazem uznania dla zbrojnego pogotowia Rzeczypospolitej.

Bardzo poważny wpływ na urządzenie tego koncertu miały, zdaje się, mowy Daladiera i Chamberlaina, wygłoszone tuż przed dniem koncertu. Mimo bowiem pewnych ustępów, nadających się do dyskusji, zwłaszcza w mowie Chamberlaina, wynikało z obu tych oświadczeń niedwuznacznie, że Trzecia Rzesza, w razie konfliktu zbrojnego, znajdzie się w wojnie, nie tylko z Polską, ale i z mocarstwami Zachodu. I pod tym względem, zdaje się, dęty koncert gdański ma znaczenie poważnego politycznego symptomatu: symptomatu obawy Trzeciej Rzeszy przed każdym rzeczywistym konfliktem, w którym trzebaby czołgi i samoloty uruchomić do operacji poważniejszych, jak marsz triumfalny przez shołdowane już ziemie.

Nie znaczy to jednak — trzeba to ciągle powtarzać — by Trzecia Rzesza zrezygnowała z Gdańska. Kto by pod tym względem miał jakiekolwiek wątpliwości, powinien zwrócić uwagę na wynikły zaledwie w pięć dni po koncercie królewieckiej S.A. incydent w Kalthof (po polsku: Kłodawa). Próba usunięcia stamtąd polskich inspektorów celnych ma znaczenie poważniejsze, niżby się zdawało. Właśnie przez tę miejscowość przechodzi najkrótszą droga dla transportu mniej pokojowych niż trąby dętej orkiestry in-

Przez wiek cały widmo niepodległej Polski spędzało sen z powiek despotów i żandarmów całej Europy.

Dziś niepodległa Polska jest potężną zaporą dla nowej despotii, pragnącej zakuć w jarzmo całą Europę.

strumentów z Prus Wschodnich do Gdańska. Awantura z szoferem Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej — awantura uplanowana i przygotowana napewno nie przez podrzędnych szturmowców z Kalthofu — to zapowiedź systematycznego prowokowania coraz to nowych incydentów i konfliktów, mających na celu oswojenie świata z myślą, że Gdańsk to takie „bolące miejsce" w systemie równowagi europejskiej, które trzeba koniecznie wyleczyć — oczywiście w myśl hitlerowskich propozycji. Dlatego potrzebny jest nie tylko zupełny spokój i opanowanie wobec hitlerowskich prowokacji, ale również zdecydowana kontrakcja i planowa akcja wyjaśniająca w kraju i zagranicą.

Sojusz włosko-niemiecki. Sprawy polskie są nam najbliższe i dlatego z natury rzeczy one wysuwają się w chwili obecnej na czoło każdego przeglądu politycznego. Ale zazębiają się one dzisiaj z całym mechanizmem polityki światowej. I wizyta, jaką właśnie złożył w Berlinie p. min. Ciano, niedawny gość Warszawy, posiada wyraźne znaczenie i dla nas. Jest to wyraźny i niedwuznaczny anty-polski gest Włoch.

Bo czymże innym może być podpisanie przymierza przez Włochy właśnie w tej chwili, gdy Rzesza wplątuje się sama w konflikt z Polską, w konflikt, na którym Włochy — nawet faszystowskie, imperialistyczne Włochy! — nic, ale to absolutnie nic zarobić nie mogą! Jest to demonstracja solidarności Włoch z antypolskimi prowokacjami Rzeszy, zapewnienie Rzeszy ochrony tyłów na wypadek antypolskiej agresji niemieckiej.

Uważamy za niezbędne uwypuklenie w organie opinii polskiej przede wszystkim tego zasadniczego momentu. Rzecz dziwna, że tak mało zwróciła nań uwagę nasza prasa reakcyjna.

Poza tym trzeba zresztą stwierdzić, że — ostatecznego tekstu układu nie posiadamy jeszcze w chwili zamykania dekady — sojusz włosko-niemiecki, wbrew naszej pierwotnej ocenie, wprowadza w życie pewne rzeczy nowe: nie tylko kodyfikuje on niejako istniejącą już dotąd zależność wojskową i administracyjną Włoch od Rzeszy — istniejące dotąd jedynie jako instytucje doraźne wszelakie delegatury niemieckie we Włoszech funkcjonować będą odtąd na stałe jako ciała wykonawcze nowego bloku — ale również przewiduje jeszcze dalsze uzależnienie Włoch od Rzeszy: liczba i obsada tych delegatur zostaje znacznie wzmocniona, zasięg ich działalności rozszerzony. Włochy stają się, jeszcze bardziej niż dotąd, już zupełnie wyraźnie, dependencją Trzeciej Rzeszy. Jedno z pism zagranicznych przynosi na ten temat świetną karykaturę: Mussolini i Ciano, defilujący, na czele oddziałów „czarnych koszul", ale w niemieckich czapkach wojskowych, przed Hitlerem i Goeringiem. Tytuł: nowe dywizje Rzeszy.

„Nowe dywizje Rzeszy" dają o sobie znać i w dziedzinie polityki zagranicznej. „Relazioni Internazionali", organ ministra Ciano piszą dosłownie: „Powrót Gdańska nie jest dla Niemiec tylko zagadnieniem prestiżowym, sprawą honoru. Jest to sprawa dumnego poczucia narodu, który domaga się zjednoczenia wszystkich swych niemieckich braci... Każdy czyn narodu niemieckiego, narodu, który ma poczucie historii, jest sam w sobie usprawiedliwiony".

Doprawdy, poco było witać p. Ciano w Warszawie hucznymi owacjami naszej studenterii!

Rzesza umacnia pozycje. Nie tylko we Włoszech Rzesza umacnia swe pozycje. We wszystkich krajach, gdzie zyskały grunt agentury Berlina, idą gorączkowe wysiłki nad stworzeniem ich monopolu, nad usunięciem poza nawias życia politycznego, a, jeśli można i życia w ogóle, przeciwników politycznych osi.

Odnosi się to przede wszystkim do Węgier. Rząd p. Telekiego przygotowuje tu rozwiązanie partii socjalistycznej. W lokalach wszystkich związków zawodowych odbyły się rewizje. Równocześnie rozwiązany został parlament i rozpisane nowe wybory na podstawie nowej ordynacji, która uniemożliwia wybór nie tylko lewicowców, socjalistów i demokratów, ale nawet przedstawicieli starej, nie-hitlerowskiej reakcji. W warunkach tych zrezygnowali z kandydowania zarówno wódz, bardzo umiarkowanych zresztą, ludowców węgierskich, Eckhard, jak i były premier Bethlen, wódz staro-konserwatywnej reakcji feudalnej. Nowy parlament będzie ślepym narzędziem w rękach, rządzącej w tej chwili, kliki hitlerowskiej.

Ofensywa osi daje się odczuć i w Jugosławii. Wprawdzie dotąd Jugosławia nie poddała się definitywnie żądaniom Berlina i Rzymu, nie przystąpiła formalnie do paktu anty-kominternowskiego ani nie wystąpiła z Ligi Narodów, jak Węgry, ale porozumienie z Chorwatami pozostaje nadal w zawieszeniu, a ministrowie chorwaccy dotąd nie weszli w skład gabinetu belgradzkiego. I tutaj należy zapisać ten rozwój wypadków na konto ciągłych wahań i zwlekań monachijczyków Zachodu.

Franco trwa przy osi. Rozwiewają się też w nicość nadzieje monachijczyków zachodnich, związane z rzekomą skłonnością gen. Franco do porzucenia osi. W defiladzie madryckiej na przedzie maszerowali Włosi gen. Gambary i Niemcy z legionu Kondora. Rzecz ważniejsza, jeśli nawet teraz nastąpi częściowy powrót „ochotników" faszystowskich do ich krajów ojczystych, to mówi się głośno o tym, że pozostawią oni — wbrew postanowieniom paktu angielsko-włoskiego — w Hiszpanii cały swój ekwipunek techniczny, pozostawią również przeważną część swych oficerów, którzy mają zostać instruktorami nowej armii hiszpańskiej. Wiadomo też, że całe niemal życie gospodarcze Hiszpanii frankistowskiej zostało opanowane przez oś. Pan R. F. z „Kuriera Warszawskiego" ma doprawdy dosyć powodów, by coraz bardziej „szczypać się w policzek".

Nie zmieniają tego stanu rzeczy, przyjęte z początku z entuzjazmem przez filo-faszystowskie koła Zachodu, wiadomości o pertraktacjach gen. Franco o pożyczkę francusko-angielską. Okazało się wnet, że p. van Zeeland prowadzi te pertraktacje z ramienia holdingu „belgijsko-hiszpańskiego", t. zw. C.H.A.D.E. (Compania Hispano-Americana de Electricidad), będącego poprostu ekspozyturą A.E.G. Ekspozyturą tak dalece uzależnioną od Berlina, że kiedy w Rzeszy przeprowadzono forsowną aryzację, również w C.H.A.D.E. został przesunięty na mniej widoczne stanowisko czołowy jej reprezentant, mąż zaufania Rotszyldów, p. Dannie Heinemann. Nic dziwnego, że entuzjazm osłabł szybko, że p. Simon wyraźnie odżegnywał się od wszelkiego udziału banków angielskich w tej pożyczce, a p. Bonnet wyparł się przynajmniej oficjalnego w niej udziału.

Nie, dopóki w Hiszpanii rządzi Franco, tzn. narzucona ludowi hiszpańskiemu zbrojną siłą okupantów dyktatura najbardziej reakcyjnych odłamów wielkich latyfundystów i finansistów — niema mowy o wyłamaniu Hiszpanii z bloku osi. Chyba, że... siły bloku pokojowego byłyby

tak potężne, iż p. Franco wolałby, w strachu o własną skórę, zdradzić swych protektorów i dotychczasowych władców.

Partyzantka na obu półkulach.

Poza Europą Środkową i Morzem Śródziemnym trwa wytężona akcja osi na wszystkich wręcz dostępnych jej terenach. W ostatniej dekadzie odniosła ona jeden dość poważny sukces i szereg bardzo przykrych porażek.

Sukces osi — to pucz boliwijski. Prezydent Boliwii, pułk. German (dawniej Hermann) Busch, syn niemieckiego lekarza (zawsze ci „deutschblütige"!) zdecydował się na ostateczne zlikwidowanie „niebezpieczeństwa bolszewickiego" w tym kraju południowo-amerykańskim. W braku bolszewików zlikwidował ustrój parlamentarny i stronnictwa socjalistyczne i liberalne. Przywódcy tych stronnictw zostali zesłani na jakieś wyspy. Prasa niemiecka bardzo wielką przywiązuje wagę do puczu boliwijskiego, licząc, że stanie się on zachętą dla innych krajów Ameryki Łacińskiej.

Narazie jednak na to się nie zanosi. W Argentynie, po dokładnym zbadaniu działalności organizacji hitlerowskich, rozwiązano je wszystkie. W Chile wydalono przedstawiciela kolei niemieckich, p. Voigtsa, który uważał za jedną ze swych funkcji urzędowych wyjaśnienie Chilijczykom niebezpieczeństwa żydowskiego. W Brazylii toczą się pertraktacje o sojusz wojskowy ze Stanami Zjednoczonymi. Nie bardzo to świadczy o zadowoleniu z polityki Berlina.

W Azji Anglia przechodzi do ofensywy w Palestynie. „Biała Księga" stanowi ze strony rządu brytyjskiego próbę pozyskania sobie, w rozgrywce z osią, poparcia ludów arabskich. Odniosła ona pewien sukces: prasa arabska, nawet organ Muftiego jerozolimskiego, „Felesztin" zaczyna ostatnio mówić o tym, że oś jest wrogiem ludów muzułmańskich, a ich prawdziwymi sojusznikami są Anglia i Francja. Wprawdzie wskazuje się, że chodzi tu tylko o manewr, co nawet może być słuszne — tuż przed ogłoszeniem „Białej Księgi" dwóch przedstawicieli Muftiego udało się do Berlina — ale nawet gdyby tak było, manewr ten byłby objawem poważnych przesunięć psychologicznych i politycznych, zachodzących w masach arabskich. Minusem jednak tej sprawy jest bardzo nieprzychylny oddźwięk, jaki ta księga wywołała w kołach lewicowej, wyraźnie anty-monachijskiej, opozycji angielskiej i w opinii amerykańskiej, posiadającej przecież również bardzo poważne znaczenie dla cementowania światowego bloku pokoju.

Zato jako wyraźną porażkę osi, czy raczej trójkąta, ocenić należy wypadki w Kulang-Fu. Japończycy wylądowali na terenie tej, malutkiej zresztą koncesji zagranicznej w prowincji Amoy, w nadziei, że mocarstwa zajęte w tej chwili innymi problemami, pominą to milczeniem. Desant w Kulang-Fu miał stanowić wstęp do ataku na koncesje w Szanghaju i Kantonie. Tymczasem Ameryka zdecydowała się działać szybko: skierowała do Kulang-Fu kilka statków wojennych i ze swej strony wysadziła na ląd desant marynarzy amerykańskich. Choć niechętnie, poszły za nią Anglia i Francja. W rezultacie Japończycy, znalazłszy się wobec zgodnej akcji mocarstw, wycofali się. Desant japoński został odwołany; prawda, że porwał ze sobą kilkudziesięciu Chińczyków, podejrzanych o akcję na rzecz swego prawowitego rządu. Ale tak daleko, by żądać uwolnienia tych Chińczyków, „anty-osiowość" mocarstw już nie idzie... W każdym razie — nowa prowokacja japońska została odparta. Próba odciążenia osi przez awanturę na Dalekim Wschodzie spełzła na niczym.

Monachijczycy przy robocie.

W obliczu gorączkowych wysiłków osi, Zachód, niestety, zachowuje zbyt daleko idący „spokój". Słabe są jakoś wysiłki dla wzmocnienia państw bałkańskich i naddunajskich wobec naporu niemieckiego. W czasie pertraktacji w Bukareszcie o traktat handlowy z Rumunią np. Anglicy targowali się zawzięcie o każdy grosz. Pertraktacje z Sowietami idą jak po grudzie i, chociaż naogół przewiduje się ich zakończenie w najbliższej przyszłości, narazie go jednak nie widać.

Rzecz jasna, że stanowi to zachętę dla wszelkich monachijskich robótek. P. Déat prowadzi dalej swą kampanię. Zaznaczmy, z satysfakcją, że nie korzysta on więcej z gościnności „L'Oeuvre" i że musi lokować swe elukubracje, obficie cytowane przez prasę hitlerowską (z niej zaczerpnęliśmy informacje o jego ostatnich występach) w jakimś obskurnym, nikomu nie znanym pisemku „Tribune de Paris". W Anglii „Times"-y po wydrukowaniu obrzydliwego artykułu jakiegoś p. Beaumonta, nieco się zmitygowały: od kilku dni drukują w rubryce listów do redakcji przeważnie anty-monachijskie oświadczenia. Ale i tutaj jeszcze trwają stare sympatie i stare nawyki monachijskie nieraz odzywają się ponowną czkawką. Naogół w tej chwili mamy do czynienia z poważnym ożywieniem roboty monachijskiej.

Prawda, że jest to ożywienie z przeszkodami. Przeszkody te bywają czasami natury zupełnie konkretnej: tak np. organ p. Doriota „La Liberté" cytowany dotąd z upodobaniem przez naszą reakcję, przestał ostatnio wychodzić z braku środków finansowych. Przestał wychodzić w niespełna dwa tygodnie po wydaniu dekretów o karalności pobierania subsydiów zagranicznych dla prasy... Dziwne doprawdy, że p. Goebbels nie posiada dostatecznie wykwalifikowanych radców prawnych, którzy by mu wskazali drogi obejścia nowych dekretów. A może chodzi tu tylko o przegrupowanie sił wewnątrz agentury berlińskiej?

Trudności nowego Monachium.

Ale trudności akcji monachijskiej dotyczą nie tylko strony finansowej i, by tak rzec, techniczno-prawnej. Istnieją też bardzo poważne trudności natury rzeczowej.

Czytaliśmy niedawno, w jednym z polskich organów demokratycznych z dużą swadą i talentem napisany artykuł, zmierzający do wyka-

---

W chwili, kiedy Adolf Hitler ogłasza swe zaborcze żądania, godzące w niepodległość i najżywotniejsze interesy Polski, faszystowska Italia zawiera z Trzecią Rzeszą jawnie zaczepny sojusz wojskowy.

Mussolini zadaje w ten sposób kłam tym wszystkim, którzy łudzą opinię polską mirażem tak niedalekiego rzekomo wyłamania się faszyzmu włoskiego z pod berlińskiej komendy.

zania, że cała, aż po dzień dzisiejszy, polityka Anglii chamberlainowskiej zmierza do jednego jedynego celu: skierowania ekspansji niemieckiej na Wschód, bynajmniej zaś nie do zupełnego jej zahamowania. Zdaje się, że autor artykułu zupełnie słusznie scharakteryzował intencje p. Chamberlaina, skryte nadzieje, jakie „latający anioł pokoju“ żywił przy swych tylokrotnych lotach i, być może, żywi w sercu po dzień dzisiejszy. Ale wydaje się nam, że autor stanowczo przecenił wpływ, jaki te nadzieje wywierają w chwili obecnej na politykę W. Brytanii, możliwości, jakie Mr. Chamberlain posiada dla realizacji swych ulubionych marzeń.

Chodzi o to: Mr. Chamberlain, w odróżnieniu od władców krajów dyktatorskich musi, mimo wszystko, mocno liczyć się z opinią publiczną własnego kraju. Musi on zwłaszcza liczyć się z opinią swych kolegów po kasie pancernej, nie tylko swojej ściślejszej kliki finansowej. Ani jedno ani drugie bynajmniej nie sprzyja drugiemu Monachium. Opinia angielska jest wyraźnie anty-monachijska. W kołach City fronda anty-monachijska, fronda grup finansowych, które ekspansja niemiecka bije po kieszeni, jest mocna. Jeśli monachijskie są Imperial Chemical, Courtauld, w znacznej mierze Royal Dutch, to anty-monachijski jest Vickers i Baldwins Limited. Jeśli monachijski jest Midland Bank, to Westminster Bank jest gniazdem anty-monachizmu, a Lloyds Bank i reszta Big Five również nie są zachwycone rezultatami Monachium. Rzecz jest jasna: trustom angielskim chodzi nie tylko o to, by wogóle w Europie zostało uratowane panowanie trustów, ale by zostało uratowane **ich** panowanie. Cóż im z tego, kiedy w, pozornie na zawsze ocalonej przed „czerwoną zmorą“, Europie zapanuje wszechwładnie Krupp i Siemens? Konta bankowe pp. Vickersów i Bennetów nie wzrosną przez to ani o jeden funt. Dlatego Chamberlain nie może realizować polityki, którą sam prawdopodobnie chciałby zrealizować. Dlatego musi iść na takie pociągnięcia, które nie tylko nie kierują Hitlera na Wschód, ale nawet, jak porozumienie z Polską i gwarancja dla Rumunii, utrudniają mu pochód na stepy ukraińskie. Dlatego, mimo monachijskich ciągot p. Chamberlaina, mimo p. Simona i p. Bonneta, mimo niedopuszczenia anty-monachijczyków do rządu brytyjskiego, obiektywnie jest coraz dalej od nowego Monachium, piętrzą się na drodze ku niemu coraz to nowe trudności.

Oczywiście, nie znaczy to, by było ono niemożliwe zupełnie. Te koła finansowe, które zmajstrowały pierwsze, pracują i teraz. Ale realizacja jego będzie tym razem o wiele trudniesza. Trzebaby złamać o wiele więcej i to świeższych zobowiązań, trzebaby pójść na większe o wiele ustępstwa, skapitulować głębiej, upokorzyć się bardziej i to w czasie, kiedy dla tego wszystkiego brak już tego ostatecznego argumentu jakim dla poprzedniego Monachium był „pokój dla naszego pokolenia“. Jest to dziś o wiele trudniejsze niż było we wrześniu ub. r. i, jeśli anty-monachijska opozycja nie popełni szeregu poważnych błędów i przezwycięży kilka dotychczasowych niedociągnięć, może stać się zupełnie niemożliwe. Bo — trzeba pamiętać, że kapitulować może tylko rząd, który jeszcze rządzi, a każdy nawrót do jawnego monachizmu może z miejsca spowodować obalenie jego autorów.

Socjalizm francuski przeciw monachizmowi. Przypomnijmy, że masy ludowe są dzisiaj o wiele mniej podatne na demagogię pseudo-pacyfistyczną, aniżeli przed rokiem. Zagadnienia stawiane są dziś na Zachodzie ostro i wyraźnie. I odpowiedzi są nie mniej wyraźne. Oto jak np. precyzuje problem istotny obecnej sytuacji międzynarodowej b. min. spraw wewnętrznych Francji, Dormoy w artykule dyskusyjnym, poświęconym przygotowaniu zjazdu socjalistycznej partii Francji, mającego się odbyć na Zielone Święta:

„Jeżeli jutro z powodu Polski staniemy w obliczu wydarzeń, podobnych do wrześniowych wydarzeń czeskosłowackich, co uczyni rząd francuski? Jak zachowają się wtedy ci, którzy podpisali wniosek Paul Faure‘a? Czy w wypadku, gdyby Polska podjęła obronę przeciw hitlerowskiej agresji, zgodzą się, by Francja, związana z Polską sojuszem, dotrzymała słowa, czy też powiedzą, jak Déat, że nie chcą umierać za Gdańsk, że chcą żyć, choćby im żyć przyszło w obozach koncentracyjnych, nawet jako hitlerowskim poddanym?“.

„Pozostawienie bez skutecznej reakcji napadu hitlerowskiego na Polskę miałoby zabójcze konsekwencje dla Europy i dla Francji. Skutki poniosłaby nie tylko Polska. Rumunia, Jugosławia i inne kraje, w krótkim czasie musiałyby ukorzyć się przed żądaniami Rzeszy, której hegemonia może na całe stulecia, zostałaby w Europie ustalona. Potwór pożerający państwa i narody nie zatrzymałby się na swej drodze: szybko załatwiłby się z republikańską Francją, jednym z ostatnich ognisk demokracji“.

Akcja monachijska, akcja agentów, wspólników, sojuszników i sympatyków brunatnego Berlina napotyka na zdecydowany opór przygniatającej większości demokracji francuskiej i angielskiej.

Polska — na posterunku. Spokojne, ale zdecydowane stanowisko Polski, jej armii i społeczeństwa przyczyniło się w minionej dekadzie do odparcia planowanego ataku na prawa Rzeczypospolitej. Musi ono być zachowane wobec długiego szeregu prowokacji, jakich należy się w najbliższym czasie spodziewać ze strony Trzeciej Rzeszy.

Zachowujemy spokój: nie damy się sprowokować przez karczemne burdy, nie damy się postawić w pozycji, którąby najemnikom p. Goebbelsa pozwoliła drzeć się na cały świat o „polskich agresjach i prowokacjach“. Nie będziemy naśladować brunatnych pismaków, nie będziemy żądać Berlina w odpowiedzi na hitlerowskie pretensje do miast i ziem polskich.

Ale zachowujemy i czujność: wiemy, że chwile przejściowego spokoju i odprężenia są tylko przygotowaniem nowych napadów, nowych prowokacji, nowych agresji. Wiemy, że brunatny imperializm nie zrezygnował z niczego i ciągle pracuje nad tym, by nas pozbawić tego, co do nas należy. I wiemy, że w chwili potrzeby przywitamy go godnie.

Witamy Kongres Pedagogiczny

Walka o oświatę narodową była w czasach zaborczych jednocześnie walką o wolność. Nauczyciel, pedagog, tajny działacz oświatowy był wówczas bojownikiem niepodległości. W nierównej walce, szczuty, tropiony, prześladowany, bronił duszy narodu, po którą sięgała zachłanna ręka zaborców, zasłaniał lud polski przed germanizacją i rusyfikacją.

Ci szermierze światła mieli pełną świadomość tego, że triumf oświaty uwarunkowany jest zwycięstwem wolności politycznej i państwowej niezawisłości. Uczeni ówcześni nie uciekali przed ponurą i — jak zapewniała ugoda — beznadziejną rzeczywistością, nie zamykali się w zaciszu bibliotek, gabinetów i pracowni naukowych, lecz łączyli swoją działalność z walką przeciw niewoli i uciskowi, trwając niezłomnie na szańcach niepodległości i demokracji. Dość wymienić nazwiska J. Wł. Dawida, W. Nałkowskiego, A. Dygasińskiego, a z żyjących Ludwika Krzywickiego. Dość wskazać na tak wybitne i zasłużone działaczki oświatowe, jak Jadwiga Dziubińska, dr Budzińska-Tylicka, Jadwiga Szczawińska, Ludwika Jahołkowska, a z żyjących Stefania Sempołowska, Irena Kosmowska, Władysława Weychert-Szymanowska, Teodora Męczkowska, świadczące swoim trudem życiowym o tym nierozerwalnym związku oświaty i kultury z wolnością i postępem.

Nie jest też rzeczą przypadku, że główne ogniska ówczesnej myśli niepodległościowej i demokratycznej, ogniska kultury i nauki, jak np. „Głos", „Ogniwo", „Społeczeństwo" były zasilane i redagowane przez najwybitniejszych uczonych, pedagogów i działaczy oświatowych.

W niepodległym państwie nauczyciel polski jest prawowitym dziedzicem i kontynuatorem tej pięknej tradycji. Ze zmianą rzeczywistości politycznej wysunęło się na czoło zadanie utrwalenia i obwarowania niepodległego bytu Rzeczypospolitej. Na nauczycielu spoczywa teraz naczelny obowiązek upowszechnienia kultury i oświaty w wielomilionowej masie ludu polskiego. Spełniając ten szczytny obowiązek, nauczycielstwo, wierne swemu powołaniu, czynnie współdziała z całą pracującą Polską, na której barkach spoczywa przyszłość ojczyzny.

Stąd płynie konieczność poświęcania czujnej i ciągłej uwagi tym kapitalnym zagadnieniom oświaty i wychowania. Stąd też płynie dla całego ogółu obowiązek popierania nauczyciela w jego mozolnej i odpowiedzialnej pracy, obowiązek przygotowania dla niego najdogodniejszych warunków materialnych i moralnych, gdyż tylko wtedy będzie on mógł spełniać swoją powinność. Będzie wiedział, iż nie jest osamotniony na swoim ważnym posterunku, będzie czuł wokół siebie moralną obecność społeczeństwa, będzie zabezpieczony przed zamachami wstecznictwa i obskurantyzmu. Dlatego cały światły, postępowy i patriotyczny ogół z najżywszą sympatią i uwagą śledzić będzie przebieg Kongresu Pedagogicznego.

„EPOKA".

W dwudziestolecie Sejmu Nauczycielskiego

Doniosłym zdarzeniem w życiu oświaty i szkolnictwa w programie naszego życia w Polsce Niepodległej jest Sejm Nauczycielski. W dniach 14—17 kwietnia 1919 roku odbył się w Warszawie Zjazd Nauczycielstwa Polskiego.

Zjazd odbył się przy udziale przeszło 500 delegatów wielu organizacji nauczycielskich i oświatowych; wzięli w nim udział delegaci Ministerstwa Oświaty. W ciągu czterech dni Sejm Nauczycielski obradował nad sprawami oświaty w Polsce. Na plenum i jedenastu sekcjach (komisjach) wykreślono drogi rozwoju naszego szkolnictwa. Dziś, w Dwudziestą Rocznicę, zanalizujmy wypracowane tam drogowskazy, zastanówmy się czy i o ile idziemy wytkniętą drogą. Nauczycielstwo polskie czerpie z uchwał Sejmu Nauczycielskiego wskazania do pracy. Wskazania te mają trwałą, nieprzemijającą wartość. Sejm Nauczycielski, podobnie jak Komisja Edukacji Narodowej, jest latarnią orientacyjną w sprawach oświaty, jest wyrazem postępowej myśli pedagogicznej w Polsce.

Sejm Nauczycielski nie zajmował się sprawami zawodowymi nauczycielstwa, gdyż nauczycielstwo i społeczeństwo ówczesne wierzyło gorąco, że rząd te problemy ureguluje ku pożytkowi szkoły i nauczyciela. Przewodniczący Sejmu prof. Jan Kasprowicz mówi w zagajeniu, że „przede wszystkim będzie nam chodziło (w czasie obrad) o ideowy kierunek pracy"... „W Polsce silnej będzie dana sposobność nauczycielstwu, ażeby swobodnie, bez troski o chleb codzienny pracować mogło nad podwalinami, nad przyszłością". Niestety wiara ówczesnego nauczycielstwa, że Rząd Wolnej i Niepodległej Polski zapewni nauczycielowi byt materialny, nie sprawdziła się.

Szeroko rozbudowany system szkolny, dostępny wszystkim bez różnicy klas społecznych, wyznań i narodowości, jest według uchwał Sejmu nieodstępnym warunkiem Polski Ludowej. Nie może być mowy o demokracji bez tak pomyślanego ustroju szkolnego. W państwie musi być pewien fundament, na którym buduje się cały system szkolny i oświatowy; obywatele muszą mieć zagwarantowane pewne minimum wykształcenia. Ten fundament i to minimum, to wychowanie przedszkolne w wieku do 6 lat i nauczanie powszechne w wieku od 7 do 14 lat. Na przedszkolu i szkolnictwie powszechnym winien być zbudowany cały system szkolny. Muszą one być upowszechnione — muszą objąć wszystkie dzieci. Jakże dziś jesteśmy od tego dalecy, a w niejednym punkcie widzimy tu cofanie się. Rzucimy tu dla ilustracji dwie liczby: 2,3 miliona dzieci w wieku 4—6 lat nie korzysta z przedszkoli, około miliona dzieci w wieku 7—14 lat nie uczęszcza do szkoły powszechnej.

Szkoła powszechna w Polsce Niepodległej nie może być szkółką początkową, podobną do szkółki średniowiecznej (o programie trivium), lecz „szkołą powszechną siedmioletnią jednolitą"; Sejm uznał, że „najniżej zorganizowaną szkołą może być szkoła o dwu klasach i dwu siłach nauczycielskich". Winny zniknąć szkoły jednoklasowe.

I tu znowu rzeczywistość nasza (w latach 1929—39) odbiegła od tej zasady. Złamano zasadę jednolitości w szkolnictwie powszechnym (trzy stopnie szkół powszechnych); powraca się do jednoklasówek. Wieś ma szkoły powszechne niżej zorganizowane, miasto siedmioklasowe.

Do szkolnictwa średniego (ogólnokształcącego i zawodowego) winna być młodzież przyjmowana po ukończeniu pełnej siedmioklasowej szkoły powszechnej, czyli Sejm wypowiedział się za 7-letnią szkołą powszechną i pięcioletnią szkołą średnią. Szkolna ustawa ustrojowa z 1932 roku odbiegła od tych wytycznych.

Sejm Nauczycielski odrzucił zasadę wyznaniowości szkolnictwa. Zasada wyznaniowości polega na tym, że państwo tworzy odrębne szkolnictwo, a w szczególności szkolnictwo powszechne, dla każdego wyznania. Tworzenie szkół wyznaniowych rozbija spoistość organizmu państwowego. Hasło szkoły wyznaniowej wysuwa nadal Akcja Katolicka, jednak i w tym obozie jest dość duże otrzeźwienie na tym punkcie, gdyż Stowarzyszenie Chrześcijańsko - Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych ostatnio wypowiedziało się również przeciw szkołom wyznaniowym. Należy jednak objektywnie stwierdzić, że czynniki kościelno-wyznaniowe głęboko weszły w obecne szkolnictwo i na tej drodze realizują swe wskazania.

Sejm wypowiedział się za bezpłatnością szkolnictwa. Nie może być mowy o zdemokratyzowaniu oświaty przy płatnym szkolnictwie i bez rozbudowanego systemu tanich burs i internatów dla zdolnej, a niezamożnej młodzieży. A niestety u nas w ostatnim dziesięcioleciu wysokie opłaty szkolne zamykają dzieciom z warstw ludowych dostęp do szkół średnich i wyższych; około $^1/_3$ wydatków tych szkół spada na barki rodziców.

Wydatki na cele szkolne i oświatowe winny znaleźć pokrycie w budżetach samorządowych i państwowych. Wypowiedziano się stanowczo przeciw oparciu źródeł finansowych szkolnictwa i oświaty na filantropii, na dobroczynności. Tak jak armii czy kolei nie zakłada się z opłat poborowych, oficerów czy kolejarzy lub ofiar społeczeństwa, tak nie można zakładania i utrzymywania szkół przerzucać na barki nauczycieli i uczniów. A niestety w ciągu dwudziestu lat wzmogły się różne zbiórki na budowę i zakładanie szkół. Zjawisko to niedobrze świadczy o dojrzałości społecznej naszych czynników decydujących w życiu szkolnym i oświatowym.

Należy zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny rys ówczesnych nastawień, jakże różny od tendencji czasów obecnych. Chodzi tu o zaufanie władz szkolnych do nauczycielstwa i rodziców. Problem ten bardzo jasno postawił Z. Nowicki, jako I wiceprezes ówczesnego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, w deklaracji tej organizacji. Mówi ona:

> „Gorąco wierzymy, że nasze państwo nie będzie państwem policyjnym, że budować się będzie na zasadach szczerze demokratycznych, że wola narodu, dyktowana przez sejm demokratyczny, stanie się źródłem wskazań i celów dla wszystkich dziedzin pracy, że wszelkie instytucje państwowe społeczeństwu służyć będą, jego warstwom najszerszym — ludowi, nie zaś kaście biurokracji, lub partii mniejszości, która by dyktaturę w ręce pochwycić zdołała."
>
> „W państwach policyjnych lub duchem policyjnym przesiąkniętych, zaufania do nauczycielstwa nie ma. Tam cele, programy i organizacja szkolnictwa stwarzane są wyłącznie przez urzędników, nie koniecznie pedagogów, w myśl rozkazów, wydawanych przez władze autokratyczne, dyktatorskie. Udział nauczycielstwa jest wykluczony, albo doprowadzony do nieznacznego minimum o charakterze doradczym. Rady zaś, o ile są szczere i nacechowane niezależnością myśli, nie są najczęściej brane pod uwagę, albo ściągają niezadowolenie z konsekwencjami niekiedy bardzo bolesnymi.
>
> Wierzymy, że nasze państwo, budujące się pod znakiem demokracji, tym zaufaniem nas, nauczycieli, obdarzy i losy dziecka nam powierzy. Powierzając losy dziecka tym samym powierzy współudział w tworzeniu wszystkiego, co temu dziecku ma służyć, a więc: projektowanie stopni, rodzajów i wzajemnego ustosunkowania szkół celem stworzenia harmonijnie obmyślonego systemu edukacji, w skład którego wejść musi i tzw. wychowanie przedszkolne oraz pozaszkolne; dalej projekty organizowania władz szkolnych, przygotowanie nauczycieli, budowy gmachów szkolnych, prawa o obowiązku szkolnym i w ogóle wszystkiego, co w zakres prawodawstwa szkolnego wejść może'.

Deklaracja Związku została przyjęta z entuzjazmem przez Zjazd.

Uchwały w dziedzinie ustroju władz szkolnych i samorządu szkolnego szły po linii demokratycznej. Rządowy projekt „Ustawy o ustroju władz szkolnych i organów samorządu szkolnego" z roku 1919 szedł po tej linii. Jakże jest on różny i daleki od obecnego ustroju władz szkolnych; jakaż rozpiętość istnieje między rządowym projektem organizacji samorządu z 1919 i 1937 roku; jakaż jest różnica między Naczelną Radą Wychowania w ujęciu z 1919 roku i Państwową Radą Oświecenia Publicznego z 1932.

Różnice te wynikają z elitarnego systemu rządzenia, z nieufności czynników kierowniczych do nauczycielstwa i własnego społeczeństwa.

Sytuacja międzynarodowa zmusza jednak czynniki odnośne do oparcia całego systemu o masy ludowe. Z wiary w człowieka, z wiary w moc narodu rodził się nasz system państwowy i szkolny. Dziś, pod naporem sił zewnętrznych, a wielka szkoda, że tylko pod naporem, wraca, bo wrócić musi zaufanie do społeczeństwa. W tych warunkach muszą przyjść i nawroty do uchwał Sejmu Nauczycielskiego.

W Dwudziestolecie Sejmu Nauczycielskiego zbiera się IV Kongres Pedagogiczny Związku Nauczycielstwa Polskiego. Wierzę, że podejmie on zapomniane przez czynniki rządzące wskazania Sejmu Nauczycielskiego.

CZESŁAW WYCECH.

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI" JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

Patrząc na fort Loncin...

(Fragment powieści)

Dzisiaj to już historia.

Przeszedł tędy w pruskich butach zbójecki krok inwazji i otwarł w ziemi to piekło, które już tylko jest cmentarzem. Myśl wzniosła i okrutna kazała tu zostawić wszystko tak, jak poległo, jak się dokonało. Oddano fort Loncin pod straż jedyną, pod milczącą straż zatrzymanego czasu.

Myśl okrutna i wzniosła postanowiła tu przechować i oczom pokoleń przekazać — nietkniętą — tę monstrualną, płową jak sierść lwa ruinę, w której *pięciuset walecznych* zagrzebało się pod gruzami. Dzikie, posępne uroczysko trwa. Zioną rozdarciem nawskróś ogromne betonowe bloki fortowych kazamatów, sterczą wypiętrzone głazy, czerepy zimne, rdzą rudą zżarte kopuły wież stalowych, z kamiennych wywalone łożysk. Jak rupiecie blaszane tkwią w gruzie szczątki rozbitych moździerzy, maszyn wojennych, połamanych płyt pancernych. Wężowym skrętem wiją się zaryte w piargu żelazne taśmy blindażów.

A pośrodku ten okropny krater w głąb ziemi wyłupiony, lej przeraźliwy, liszajami nikłej trawy porośnięty — głęboki, głęboki. To tu, w tym miejscu, była prochownia fortowa. Stąd runął w niebo ów piekielny wybuch, który w kawały rozdarł fort Loncin.

15 sierpnia 1914 r.

Na dnie krateru mała, mętna sadzawka zielonawej wody, z deszczów uzbieranej — smutne, nieruchome oko uroczyska. A niebo w górze takie samo, sierpniowo pogodne, jak wtedy.

Jak wtedy — —

Dziesięć dni trzymał się fort Loncin pod ogniem artylerii niemieckiej: był przez ten czas, zaiste, bryłą stali na gigantycznym kowadle, kutą bez przerwy wściekłymi młotami. Pięciuset ludzi, zamkniętych w jego kazamatach, przysięgło swemu komendantowi ofiarę życia. 6 sierpnia oczy ich po raz ostatni widziały na zachodnim horyzoncie cofające się ku Brukseli oddziały belgijskie. Fort Loncin został od tej chwili sam, jak zuchwała wyspa wśród zalewającej kraj inwazji.

„Ils ne passeront pas!" — „Oni" nie przejdą, jak długo my tu będziemy! — ten okrzyk z pięciuset piersi wzbił się wtedy i flagą zawisł nad fortem.

Innej już nie wywieszono — aż do końca.

Gdy po tygodniu straszliwego pojedynku dział i moździerzy zdawać się mogło, że Loncin jest już stosem gruzów i kłębowiskiem konających ciał;

gdy zacieśniający się dokoła fortu pierścień piechoty nieprzyjacielskiej zmusił załogę do ściągnięcia z okolicznych dzwonnic obserwatorów artyleryjskich;

gdy wskutek tego w dniu 14 sierpnia umilkły działa forteczne, a obsługującym je kanonierom opadły bezradne ręce:

napróżno wówczas lornetki sztabowców niemieckich wypatrywały białej chorągwi kapitulanckiej wśród dymów spowijających bastiony fortu. Jego obrońcy, stłoczeni w ciasnych, mrocznych podziemiach, kazamatach i galeriach, w oczekiwaniu szturmu ostrzyli wtedy swe bagnety, nucąc przy tym modną w owym czasie sentymentalną piosenkę:

„Tout doucement on se ballade,
C'est la dernière promenade".

Tacy oni są, Belgowie, urodzeni pacyfiści, z wyboru i temperamentu cywile w każdym włóknie, a z obowiązku i potrzeby — rycerze, wcale nie mniejsi od greckich herosów. Ostrząc bagnety śpiewali płochą piosenkę.

Z dalekich przedmieść leodyjskich, z drugiego brzegu Mozy, zaczynały właśnie padać na Loncin pierwsze pociski 42-centymetrowe. To zniecierpliwiony wróg wprowadził w bój na pomoc sprowadzone najcięższe haubice motorowe.

Zbliżała się agonia bohaterskiego fortu.

Odmówiły światła w kazamatach zniszczone instalacje elektryczne. Przestawały działać wentylatory. Ciemność i gryzące czady wdarły się w podziemia, szary pył kruszącego się betonu spopielał twarze i mundury ludzi, a w mijających godzinach straszliwego oczekiwania tężały mrozem śmiertelnym ich dusze.

15 sierpnia, o godzinie 5,45 po południu, z najgłębszych wnętrzności konającego fortu — ponad kurzawę dymów i czadów gryzących, ponad łuk pękających pocisków — wystrzelił w niebo oślepiający słup ognia. Straszliwa detonacja zakołysała powietrzem w całej dolinie Mozy i poszła tysiącem grzmotów w zielone wąwozy Ardenów. Wyleciała prochownia fortowa: 12 tysięcy kilogramów amunicji.

Loncin leżał w gruzach, wskroś rozdarty, rozbity na skorupy.

Dymiący stos przywalił pięciuset walecznych. Z piekła jęków i rzężeń śmiertelnych, z żaru płomieni, z czarnych chmur spalenizny wybiegło kilkunastu szaleńców z karabinami w rękach — skacząc po gruzach i szkarpach strzelali, naoślep, nieprzytomnie, opętańczo.

Późną, bezgwiezdną nocą ciepły, sierpniowy deszcz spadł na gorące zgliszcza poległego fortu. W mokrej glinie zburzonych wałów i fos ciężko chlupały kroki niemieckich szyldwachów.

Dzisiaj to już historia.

Lecz wzniosła i okrutna myśl zatrzymała tu czas nad martwym uroczyskiem. Poległy fort, nietknięty w grozie swojego upadku, głucho śni sen kamienny straszliwej pośmiertnej sławy. Natura ludzka, nie znosząca widoków zbyt okrutnych, tu odstąpiła od zwyczaju zacierania śladów swoich zbrodni i nadawania pięknych, foremnych kształtów pamiątkom swego bohaterstwa. Loncin jest monumentem posępnym, niepowabnym, nieznośnie prawdziwym, lecz przy tym aż do najwyższej miary patetycznym. Nic dziwnego: własnoręcznie wyrzeźbiła go historia.

Człowiek jednakże — w końcu, — nie oparł się swym nałogom. W pobliżu fortu, na otwartej wkrąg płaszczyźnie, wzniesiono przepyszny pomnik: z wyżyny smukłego cokołu marmurowego dwie z zielonego brązu odlane postacie antycznych wojowników: Greka i Rzymianina, patrzą na fort poległy zimnymi posągowymi twarzami. Ludzkie dzieło patrzy z wysoka w skamieniałe piekło dzieła dokonanego przez żywioł, twarze posągów — w twarz spełnionego przeznaczenia.

LEON KRUCZKOWSKI.

T.N.S.W. w dziejowej chwili

W dziesięć dni po mowie Hitlera, która błyskawicznie, wbrew intencjom mówcy zjednoczyła całe społeczeństwo polskie, odbył się we Lwowie walny zjazd delegatów Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. W chwili więc, gdy na wielkich obszarach Rzeczypospolitej, od Bogumina po Wilno, od Baranowicz po Gdynię, wśród najróżniejszych i różnojęzycznych odłamów ludności odbywała się mobilizacja moralnych sił oporu przeciwko duchowi, ideologii i agresji Trzeciej Rzeszy, walne zgromadzenie profesorów szkół akademickich i średnich radziło... nad zmianą § 11 statutu towarzystwa, związaną z przyjmowaniem do TNSW nowych członków „pochodzenia niepolskiego". Słowem, reforma norymberska, paragraf aryjski? O, nie! Bo TNSW przy całej swej, znanej zresztą, reakcyjności, uwzględnia jednak najwidoczniej pochodzenie niektórych swoich członków i nie chce wywoływać upiora niejednej babki.

Wiekopomna uchwała w tym przedmiocie po wyczerpującej dyskusji, która wykazała „całkowitą jednomyślność zebranych", jeżeli chodzi o stronę merytoryczną tej sprawy, przyjęta została w brzmieniu następującym: „członkiem zwyczajnym TNSW może być każdy nauczyciel szkół średnich i wyższych Rzeczypospolitej Polskiej zrodzony z rodziców chrześcijan".

„Przegląd Pedagogiczny" obwieszcza o tym tryumfalnie w swojej ocenie zjazdu we Lwowie, uzupełniając harmonijnie sprawozdaniem z okręgowego zjazdu w Poznaniu profesorów tego samego autoramentu. Rezolucja tam przyjęta nie przyniesie wstydu nawet gościom kongresu erfurckiego i nie obudzi podejrzeń, że duch masoński kierował ręką jej autorów: „Twórcami dorobku naszej polskiej kultury mogą być tylko rdzenni z krwi i ducha Polacy, nauczyciele powinni czuwać, aby do szkoły nie przenikały utwory ludzi obcych duchem i pochodzeniem narodowi. Młodzież powinna wiedzieć, jakiego wyznania jest dany twórca".

Gdyby ktoś dbały o honor myśli polskiej, tej myśli, która iskrą prometejską świeciła u czoła wielkich Polaków i twórców od Mickiewicza do Żeromskiego i Struga, nie wierzył swym oczom i słowa tej rezolucji przypisywał działaniu halucynacji; gdyby złudzony treścią, gotów był przysięgać, że te złote słowa płyną z krynicy „Małego Dziennika" czy innej „Samoobrony", — ten niech gwoli przekonania się zajrzy do organu tego bractwa profesorskiego, do „Przeglądu Pedagogicznego" (nr 6, str. 102).

Można byłoby, po zarejestrowaniu tego ponurego dokumentu chwili na tym już poprzestać, gdyby nie jedna okoliczność. Bo oto w tym samym nrze 6-ym „Przeglądu Pedagogicznego" znalazło się jakby przez ironię przepojone uznaniem i serdecznością wspomnienie o Władysławie Dawidzie, napisane z okazji 25-lecia jego śmierci. Podnosi się i omawia jego natchnioną rozprawę „O duszy nauczycielstwa". Mówi się, że J. Wł. Dawid — to „swego rodzaju apostoł pewnych prawd pedagogicznych", że był to człowiek „o mózgu racjonalisty - pozytywisty, ale o duszy romantyka, dla którego humanistyczna rzeczywistość ma o tyle sens, o ile ją prześwietla i ogrzewa czujące i współczujące serce ludzkie". Przytacza się nawet jasną konkluzję rozprawy: „W żadnym zawodzie człowiek nie ma tak wielkiego znaczenia, jak w zawodzie nauczycielskim". Jeżeli więc teraz zestawimy ducha powyższej rezolucji, uchwalonej z zapałem przez profesorów z duchem rozprawy „O duszy nauczycielstwa", to dziw tylko że łamy pisma nie pękły pod ciężarem profanacji.

A jeżeli już mowa o rocznicach, to trzeba wspomnieć jeszcze jedną. Otóż „Przegląd Pedagogiczny" wychodzi pięćdziesiąty ósmy rok. Przez osiem lat w końcu ubiegłego wieku jego redaktorem był właśnie J. Wł. Dawid i pod jego kierownictwem pismo stało się żywym ogniskiem postępowej myśli pedagogicznej, promieniującym na całą Polskę. Za tę bezkompromisową i nieugiętą walkę z wstecznictwem pozbawiono Dawida redaktorstwa „Przeglądu", pozbawiono go stanowiska za opór wobec tego samego ducha pleśni i obskurantyzmu, z którego zrodziła się powyższa rezolucja. Wydalenie J. Wł. Dawida z „Przeglądu Pedagogicznego" odbyło się właśnie 40 lat temu ku zgrozie i płomiennemu oburzeniu całego nauczycielstwa, walczącego wówczas z najazdem i o duszę polskiego dziecka. Wypadałoby, więc, żeby dzisiejszy „Przegląd Pedagogiczny" napisał wspomnienie o 40-to leciu tej krzywdy.

Z dnia na dzień

PRZED ŚWIĘTEM LUDOWYM.

Tegoroczne święto chłopskie, które ruch ludowy będzie obchodził w pierwszym dniu Zielonych Świąt, nabiera szczególnego znaczenia na tle ogólnej sytuacji naszego państwa i zadań, stojących dziś przed całym społeczeństwem.

Jeżeli i w latach ubiegłych w dniu tym chłopi polscy manifestowali swą niezłomną wierność ideałom demokratycznym i swój głębo-

ki patriotyzm, tym cenniejszy, że wolny od wszelkiej krzykliwości i dekoratywności — to w roku bieżącym święto ludowe stanie się potężną demonstracją gotowości mas chłopskich do zbrojnego przeciwstawienia się bezpośredniemu już niebezpieczeństwu hitlerowskiej agresji.

Pod zielonymi sztandarami swego zahartowanego w walce o wolność i wypróbowanego Stronnictwa wieś polska zadokumentuje w obliczu całego kraju niewzruszone przywiązanie do ideału Demokratycznej Polski Ludowej, dla której wywalczenia chłopi nie szczędzili nigdy ofiar. Oświadczą w tym dniu chłopi polscy, że tylko w masach ludowych jako pełnoprawnych i odpowiedzialnych gospodarzach Rzeczypospolitej spoczywa siła i moc obronna ojczyzny. Że uzyskanie przez lud należnych mu praw politycznych i obywatelskich jest naistotniejszym współczynnikiem dozbrojenia moralnego Polski, najskuteczniejszą gwarancją jej niepodległości, całości i niezależności.

Ale dzień 28 maja pod innym jeszcze względem będzie różny od świąt ludowych w latach ubiegłych. W tegorocznym święcie chłopskim po raz pierwszy weźmie udział założyciel i przywódca Stronnictwa Ludowego,

Wincenty Witos,

który po wieloletniej przerwie znowu stanął na czele ruchu ludowego! Lata rozłąki nie tylko nie rozluźniły więzów łączących lud polski z swym przywódcą, ale stokrotnie je zacieśniły, czyniąc z osoby obecnego prezesa N.K.W. symbol walki o prawa chłopskie, symbol demokracji ludowej.

Obejmując w dniu 17 bm. po długiej przerwie kierownictwo ruchu ludowego wydał Wincenty Witos odezwę do chłopów polskich, w podniosłych słowach wskazującą na demokratyczne ideały Stronnictwa, które skupia pod swymi sztandarami najbardziej uświadomiony, patriotyczny odłam ludu wiejskiego i prowadzi wielomilionową masę chłopską całego kraju ku Polsce Ludowej —„Polsce wolności i równości, Polsce prawa, dobrobytu i sprawiedliwości". Odezwa stwierdza, że cele te wymagają nie tylko zgodnej i wytrwałej pracy, ale też poświęcenia i ofiar, przed którymi chłopi na pewno się nie cofną, w swym dążeniu do lepszego jutra ojczyzny i ludu.

W związku z międzynarodowym położeniem Rzeczypospolitej prezes N.K.W. oświadcza w imieniu Stronnictwa Ludowego i wszystkich chłopów:

„Jakkolwiek nie myśmy zawinili obecnemu stanowi, wszyscy i wszelkimi środkami będziemy bronić przed każdym najeźdźcą nie tylko naszej niepodległości, ale każdej grudki ziemi. Dla tych celów poniesiemy wszystkie potrzebne ofiary! Nie będziemy też za to żądać od nikogo ani przywilejów ani zapłaty! Domagać się natomiast będziemy aż do skutku tych praw, które nam się jako obywatelom państwa bezwzględnie należą".

Powrót W. Witosa do steru polityki ludowej jest doniosłym wydarzeniem nie tylko dla Stronnictwa Ludowego, ale dla całej demokracji polskiej. Stronnictwo to położyło przecież ogromne zasługi nie tylko na polu walki o wolność i prawo w Rzeczypospolitej, ale i w dziedzinie polityki zagranicznej. Wraz z całym obozem demokratycznym ruch ludowy podtrzymywał w ciągu ostatnich pięciu lat tradycję przyjaźni, łączącej Polskę z demokracją francuską i angielską, niezmordowanie krzewił w masach chłopskich zrozumienie dla sojuszu Polski i Francji, stworzył grunt psychiczny pod odbudowę tego sojuszu i pod przymierze polsko-angielskie. W ten sposób ruch ludowy wyrażał w tej dziedzinie nie tylko pragnienia chłopów, ale dążenia całego społeczeństwa i rzeczywisty interes Rzeczypospolitej. Wydarzenia ostatniego roku, ukoronowane zmianą naszej polityki zagranicznej w kierunku od dawna przez demokrację wskazywanym, w całej pełni potwierdziły też słuszność stanowiska, jakie od początku zajmował w tych zagadnieniach ruch ludowy. I tu leży trwała zasługa **Witosa nie** tylko dla sprawy ludowej i demokracji, ale i dla państwa.

Anty-ideologiczny ideolog

P. „Eskaem" w „Kurierze Warszawskim" zgorszył się bardzo głosami wielu pism polskich, stwierdzających fakt bezsporny podporządkowania polityki Węgier woli osi, a więc — i woli Trzeciej Rzeszy. Z oburzeniem rzuca się on na tych, którzy „gwałtownie dążą do wywołania w naszym społeczeństwie wrażenia, że Węgry idą z państwami osi. Taktyka taka — gniewa się p. Eskaem — jest wyraźnie szkodliwa i lekkomyślna". Zdaniem p. Eskaem Węgry nie idą więc z państwami osi.

Pięknie. Ale co w takim razie p. Eskaem powie na takie oto oświadczenie premiera węgierskiego p. Teleky (cytujemy je za ks. Piwowarczykiem z „Głosu Narodu"):

„Przyjaźń węgiersko - niemiecka datuje się od czasów dojścia Hitlera do władzy... Nasz stosunek do osi, to stosunek najserdeczniejszej i najbardziej oddanej przyjaźni. Z osią Rzym — Berlin utrzymujemy najściślejszą przyjaźń".

Jest więc wszystko: i blok ideologiczny („od czasu dojścia Hitlera do władzy") i stosunek lenno-hołdowniczy („najserdeczniejsza, najściślejsza, najbardziej oddana przyjaźń"). Wartoby zapytać: kto jest bardziej powołany do interpretowania polityki węgierskiej: p. Eskaem, czy premier Węgier, p. Teleky? I jeszcze coś: poco właściwie p. Eskaem wprowadza w błąd — bo inaczej trudno to nazwać — polską opinię publiczną?

Nasuwałoby się pewne przypuszczenie: wywody p. Eskaem zawierają m. in. taki pean na rzecz „węgierskiej polityki neutralności": „Szereg państw: wcale nie sprzyjając państwom osi i ich doktrynie, jak np. Szwajcaria, Szwecja, Litwa, państwa bałtyckie pragną i muszą, ze względów geograficznych pozostać neutralne. Do tych państw należą i Węgry".

Dajmy pokój Szwajcarii i Szwecji. Ich „polityka neutralności" bynajmniej nie wykazuje „cech węgierskich". Ale ta pochwała neutralności przypomina nam, że i w innych krajach istniały takie koncepcje „polityki niezależności od bloków ideologicznych", które skończyły się dosyć pospiesznym odwrotem zwolenników tych koncepcji. Czyżby chodziło o rehabilitację pewnych minionych, własnych grzeszków?

Ale w takim razie skąd te wywody w „Kurierze Warszawskim"? Bo przecież właśnie „Kurier Warszawski", piórem swego czołowego publicysty, gromił stale i systematycznie politykę „anty - ideologicznych ideologów". Wywody p. Eskaem uświetniłyby raczej łamy „Merkuriusza" lub „Prosto z Mostu".

Gdzie są prawdziwe Niemcy?

Polska znajduje się w chwili obecnej raz jeszcze w ostrym konflikcie z naporem niemieckiego „Drang nach Osten". Ci, co sądzili, że dla odwrócenia tego Drangu od naszych granic wystarczy kilka przyjaznych dla polityki Rzeszy artykułów i parę awantur antyżydowskich na ulicach miast polskich — przekonali się, że padli ofiarą gorzkiego złudzenia. Z wyjątkiem jawnych agentur hitlerowskich, typu tajemniczej „Polskiej Agencji Informacyjnej", rozsyłającej z „sarmacką trzeźwością" tekst mowy anty-polskiej kanclerza Hitlera — zamilkły dziś głosy filo-niemieckie w Polsce. Zacietrzewieni hitlerofile przyczaili się gdzieś po kątach. Nie damy Rzeszy opanować Gdańska, nie damy ruszyć Pomorza, nie damy dyktować sobie, jakie sojusze ma zawierać lub nie zawierać Rzeczpospolita — oto hasła, pod którymi skupia się dziś cały naród polski, skupia się bodaj dziewięćdziesiąt dziewięć procent obywateli Polski. Imperializm niemiecki, jeśli spróbuje ruszyć w kierunku wschodnim, jeśli spróbuje, zgodnie z ewangelią „Mein Kampf", szukać na Wschodzie świeżej roli dla niemieckiego pługa, spotka się z jednolitym i zwartym oporem trzydziestu kilku milionów obywateli Rzeczypospolitej.

Napisaliśmy: imperializm niemiecki. Bo — rzecz charakterystyczna i godna zaznaczenia! — cały gniew i całe oburzenie społeczeństwa kieruje się nie przeciw narodowi niemieckiemu. Zrozumienie, że co innego naród niemiecki, a co innego, zupełnie innego, aktualny jego rząd, czy wielkofinansowe kliki, które od lat kilkudziesięciu rządzą polityką Rzeszy — zrozumienie to jest dziś powszechne w społeczeństwie polskim, obejmuje swym zasięgiem warstwy o wiele szersze niż obóz demokratyczny, z natury rzeczy broniący tego właśnie stanowiska. Bojkotujemy prasę hitlerowską, zarówno drukowaną w Rzeszy, jak i poza jej granicami — ale w kioskach naszych, w cukierniach, w biurach dzienników bez trudności dostać można demokratyczne organy niemieckie, czy będą to pisma szwajcarskie, czy też wychodzący w Polsce katolicki „Der Deutsche in Polen", czy też emigracyjne organy niemieckie wszystkich kierunków, poczynając od pism socjalistycznych aż po wydawnictwa katolickie i organ monarchistów austriackich. Na szpaltach prasy polskiej, nawet organów reakcyjnych, hitlerofilskich do wczoraj, spotykamy coraz częściej informacje o walce anty-hitlerowskiej socjalistów czy katolików lub demokratów niemieckich, spotykamy coraz częściej stwierdzenie faktu, że niemieckie masy ludowe bynajmniej nie solidaryzują się z antypolską nagonką, z napastniczymi planami kierownictwa Rzeszy.

To stanowisko społeczeństwa polskiego wynika ze zrozumienia realnej rzeczywistości. Wiemy doskonale, że pp. Goebbels czy Goering niczego by bardziej nie pragnęli w tej chwili, jak jakichś, w hitlerowskim stylu utrzymanych, generalnie anty-niemieckich wystąpień z naszej strony, wystąpień, któreby pozwoliły stworzyć przeciwko nam zwarty front, wahającej się w tej chwili, niemieckiej opinii publicznej, które pozwoliły by im na Zachodzie uruchomić znowu swe agentury, swych, osadzonych na chwilę w miejscu Déatów i Londonder-ry'ch. Wiemy, że to właśnie pan Goebbels z ekspansji niemieckiego imperializmu pragnie stworzyć nieuniknioną konieczność historyczną narodu niemieckiego, by w ten sposób wykonywanie poleceń pp. Kruppa i Thyssena przedstawić jako działanie w interesie tego narodu. Właśnie dlatego społeczeństwo polskie odrzuca kategorycznie pochodzące z jakichś mętnych, w oparach „Mein Kampf" wychowanych, ośrodków, hasła antyniemieckiego „imperializmu", hasła „odebrania Łużyc" czy Nowawes z pod Berlina, mimo niewątpliwej łączności tej nazwy z dobrze nam znaną, polską Nową Wsią. Swego nie damy, ale i cudzego nie chcemy. Nie chcemy też bynajmniej — jak to od czasu do czasu wysuwają inne grupy naszej reakcji — rozbijać Niemiec na jakieś dwadzieścia państewek. Wiemy dobrze, że wszystkie tego rodzaju plany i propozycje służyłyby narazie tylko do wzmocnienia pozycji hitleryzmu wewnątrz Niemiec, a w razie realizacji stanowiłyby tylko atuty jakiegoś nowego Hitlera, który w walce z tego rodzaju niewątpliwymi przejawami ucisku narodowego raz jeszcze potrafiłby zmobilizować pod sztandar Kruppów i Deutsche Bank bodaj część narodu niemieckiego. Nie chcemy krzywdy dla Niemców — chcemy tylko poszanowania słusznych praw Polski. Takie jest dziś stanowisko całego narodu, całego społeczeństwa. Stanowisko słuszne, stanowisko, mogące stanowić podstawę dla szczerego porozumienia się z ludem niemieckim.

Mówimy: z ludem niemieckim. Bo równie dalecy jesteśmy także od upraszczania, od nadmiernego wulgaryzowania tego przeciwstawienia. Dalecy jesteśmy od twierdzenia, że to tylko i wyłącznie Hitler, tylko i wyłącznie brunatne koszule pragną sięgnąć po ziemie polskie. Twierdzenie takie niezgodne byłoby z rzeczywistością, mówiącą nam, że Września i wóz Drzymały były na wiele, wiele lat przed Hitlerem, że nawet za demokratycznej przecież republiki weimarskiej kierownictwo Rzeszy bynajmniej nie rezygnowało ze swych pomorskich rewindykacji, a Smętek hulał na Mazurach. Hitler jest tych rewindykacji imperialistycznych bojowym, agresywnym reprezentantem, ale nie posiada on monopolu na nie. Imperializm niemiecki istniał przed Hitlerem i może, choć nie musi, istnieć po jego upadku. Hitleryzm — to tylko skoncentrowany, skondensowany,

---

„W Święto Ludowe, jako święto chłopskiej pracy, jedności i zbratania, milionowe rzesze ludu wiejskiego zgromadzą się pod sztandarami Stronnictwa Ludowego na wielki doroczny przegląd swej organizacyjnej siły!

Jeżeli kiedy — to dziś, w czasach burzliwych, jak najmocniej muszą być zwarte w jedności chłopskie szeregi.

Jeżeli kiedy — to dziś właśnie musi być okazana i spotęgowana siła chłopskiego ruchu w Polsce!

Od tej jedności i siły chłopskiego żywiołu zależą dziś nie tylko losy wsi, ale w dużej mierze i losy państwa polskiego!".

Z odezwy Stronnictwa Ludowego na Święto Chłopskie.

przede wszystkim niezwykle intensywnie działający system imperializmu niemieckiego. Ale mimo wszystko — jest Hitler przedstawicielem jedynie imperializmu niemieckiego, a bynajmniej nie narodu niemieckiego. Bo imperializm niemiecki — to imperializm garstki wielkich kapitalistów, wielkich junkrów, wielkich bankierów. To imperializm Kruppów, Thyssenów, Mannesmannów, Donnersmarcków, to imperializm Deutsche Bank i Dresdner Bank — ale nie ma on nic wspólnego z rzeczywistym narodem niemieckim, podobnie jak senne marzenia młodych imperialistów z „Polityki" nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi aspiracjami narodu polskiego. Oczywiście, mówiąc o narodzie, nie myślimy zaliczać do jego przedstawicieli takiego p. G. Bernharda z dawnego „Berliner Tageblatt", którego niedawno w prasie polskiej ktoś wymienił jako odstraszający przykład imperializmu demokracji niemieckiej. Nie, p. Bernhard i jemu podobni, to tylko na demokratyczny kolor pomalowani najmici pióra tych samych Kruppów i Deutsche Bank, których ostatnim reprezentantem jest p. Goebbels. Fakt, że p. Bernhard nie uległ zglajchszaltowaniu po r. 1933, zawdzięcza on jedynie swemu pochodzeniu, nie swym przekonaniom. Przywdział przecież brunatną koszulę, by jego jednego tylko, dla przykładu, wymienić, kolega redakcyjny p. Bernharda, świetny zresztą korespondent moskiewski tegoż pisma, przyjaciel Trockiego, Paul Scheffer, który z typowego „salonbolszewika" zmienił się błyskawicznie na asa publicystyki hitlerowskiej. Za naród niemiecki nie uważamy tych klik wielko-finansowych, które i za czasów weimarskich umiały utrzymać w swych rękach — rękach Stresemannów i Treviranusów — kierownictwo Rzeszą Niemiecką. Nie, naród niemiecki, to dla nas chłopi bawarscy i tyrolscy, dziś gnębieni, gorąco wierzący katolicy, to „marksistowscy" robotnicy Wiednia, Berlina czy Zagłębia Ruhry, to mieszczanie drobnych miast niemieckich, to uczeni i artyści, dziś zmuszeni do emigracji lub milczenia przez rozpasaną klikę brunatnych pretorianów. Naród niemiecki to dla nas dziesiątki tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych, socjalistów, katolików, demokratów, po prostu — uczciwych ludzi. Naród niemiecki to dla nas bohaterscy działacze demokracji niemieckiej, wbrew siepaczom Gestapo podtrzymujący w kraju płomień buntu i walki o wolność. Wiemy, że ten prawdziwy naród niemiecki składa się z ludzi takich jak my, takich jak każdy naród na świecie, ludzi pragnących przede wszystkim żyć i cieszyć się życiem, pracować i korzystać z owoców swej pracy. Cokolwiek złego dałoby się powiedzieć o weimarskiej republice niemieckiej — a znalazłoby się tego sporo! — pamiętajmy przecież, że dopóki trwała ta republika, nie było mowy o dochodzeniu jakichkolwiek pretensji kosztem nowej, krwawej, światowej rzezi. Dopiero, kiedy brunatna dyktatura pozbawiła głosu ten prawdziwy naród niemiecki, kiedy pozbawiła praw masy ludowe niemieckie — dopiero wtedy groźba, wisząca nad granicami Rzeczypospolitej nabrała bezpośrednio aktualnego znaczenia. Z imperializmem niemieckim musimy walczyć do upadłego. Z narodem niemieckim, zasiedlającym całą niemal naszą zachodnią granicę musimy znaleźć drogę do porozumienia i znajdziemy ją w chwili, kiedy w Berlinie dojdzie do głosu lud niemiecki, a upadnie nie tylko brunatny reżym hitlerowski, ale i ci, co ten reżym stworzyli i którzy nim rządzą: Kruppowie, Thyssenowie, Donnersmarckowie, Deutsche Bank i Dresdner Bank. Reżym hitlerowski, panowanie wielkofinansowych trustów niemieckich jest równocześnie niebezpieczeństwem dla niepodległości Polski i plagą narodu niemieckiego. W walce z imperializmem niemieckim, w walce z Drang nach Osten nie jesteśmy przeciwnikami, ale sojusznikami ludu niemieckiego.

Za mało się jeszcze robi, by właśnie ten lud niemiecki, by właśnie prawdziwy naród niemiecki, naród Goethego, Schillera, Herwegha, Freiligratha, Bebla, Engelsa, Ossietzky'ego przeciwstawić brunatnym zapędom. Mamy w kraju organizacje niemieckich katolików i socjalistów, popierające w pełni stanowisko społeczeństwa polskiego wobec Trzeciej Rzeszy. Dobrze byłoby gdyby na polskich zebraniach robotniczych jaknajczęściej zabierali głos przedstawiciele socjalistów niemieckich w Polsce, by wyrazić swą solidarność z robotnikami polskimi, solidarność zresztą wielokrotnie deklarowaną w prasie socjalistycznej niemieckiej. Dobrze byłoby, gdyby ich artykuły pojawiały się, jaknajczęściej, w polskich organach demokratycznych. Dlaczego poglądy redakcji katolickiego „Der Deutsche in Polen", poglądy stanowczo anty-hitlerowskie, nie znajdują jaknajszerszego oddźwięku na łamach polskiej prasy katolickiej, dlaczego działacze tej grupy nie występują w duchu swych wywodów właśnie na polskich zebraniach? Posiadałoby to wszystko bardzo duże znaczenie polityczne, mogłoby w poważnym stopniu przyczynić się do osłabienia skuteczności propagandy hitlerowskiej w masach niemieckich nie tylko w granicach Rzeczypospolitej.

Nie dość na tym. Radio niemieckie dzień w dzień atakuje Polskę. W takim radio Wiedeń np. codzień przemawia w duchu O.U.N. jakiś ukraiński najemnik Trzeciej Rzeszy. Tymczasem prawdziwe, ludowe Niemcy pozbawione są trybuny radiowej. Dlaczego nie zaprosić przedstawicieli niemieckich socjalistów i katolików w Polsce, by przez radio polskie zabrali głos i przemówili do swych ziomków w Rzeszy? Dlaczego nie zwrócić się z taką właśnie propozycją do przedstawicieli emigracji niemieckiej, prawdziwej reprezentantki narodu niemieckiego, do ludzi takich jak, pisarze światowej sławy Henryk i Tomasz Mannowie, jak komendant austriackiego Schutzbundu Deutsch, jak przywódca centrum niemieckiego prałat Kaas? Zasięg naszych radiostacji obejmuje całą niemal Rzeszę. Jakże olbrzymie znaczenie mogłyby mieć takie przemówienia dla przekonania „szarego człowieka" w Rzeszy, że Polska bynajmniej nie chce napadać na Rzeszę, ani nie prześladuje Niemców, jakże olbrzymi kredyt moralny stworzyłyby one Polsce w razie konfliktu!

Nie liczymy, by zrozumieli to wczorajsi entuzjaści Hitlera z pod znaku naszej reakcji. Ale obóz demokratyczny musi stanowczo dążyć do wzmocnienia naszej łączności z demokratycznymi ugrupowaniami niemieckimi w Polsce i z demokratyczną emigracją niemiecka, naszą naturalną sojuszniczką w walce z odrodzonym w hitleryźmie, imperializmem niemieckim.

ROMAN LANG.

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

Entuzjazm dla Polski

na Konferencji demokratycznej w Paryżu

Paryż, w maju.

13-go i 14-go maja rb., w pięknej sali paryskiego „Domu Chemii" obradowała wielka konferencja międzynarodowa, która przedmiotem swoich rozważań uczyniła trzy doniosłe zagadnienia: demokracji, pokoju i obrony osobowości ludzkiej. Inicjatywa jej zwołania wyszła od wielkiego uczonego francuskiego, Pawła Langevina, członka Instytutu Fracuskiego oraz Normana Angella, wielkiego działacza społecznego i pisarza angielskiego, laureata nagrody pokojowej Nobla.

Na apel tych dwóch ludzi, podkreślający powagę chwili i wzywający do połączenia wszelkich możliwych wysiłków w celu odparcia ofenzywy faszyzmu międzynarodowego i uratowania pokoju, posypały się bardzo liczne akcesy z kilkudziesięciu krajów świata, a sala konferencyjna zgromadziła kilkuset przedstawicieli elity intelektualnej Europy, Ameryki, Afryki i Azji. Oto kilka nazwisk osobistości, które wyraziły pełną solidarność z inicjatywą paryską: R. Boothby, Sir Stafford Cripps, Lloyd George, lord Listovel, sir Archibald Sinclair, lord Strabolgi, pułk. Wedgewood, prof. Haldane, znany pisarz J. B. Priestley, Vernon Bartlett—z Anglii; Louis Aragon, Victor Basch, prof. Albert Bayet, Julien Benda, J. R. Bloch, Francis Jourdain, Prof. M. Lahy-Hollebecque, André Malraux, Maurice Rostand, Geneviève Tabouis, François de Tessan, Maurice Violette, Alexandre Zévaès, J. Zyromski, B. Crémieux i wielu innych z Francji. Camille Huysmans i Louis de Brouckère z Belgii. Henryk Mann, Lion Feuchtwanger, Ernest Toller, Arthur Holitscher i Fryderyk Stampfer — jako reprezentanci Niemiec; niemożliwością byłoby wyliczać bez końca znane nazwiska przedstawicieli wielu innych narodów; wspomnijmy tylko, jako o osobliwości, że Szwecję reprezentował na konferencji prof. Nils Silfverskiöld, prezes szwedzkiego Zrzeszenia Antyfaszystowskiego i zarazem powinowaty Goeringa, oraz że ze Stanów Zjednoczonych nadesłali akcesy znani aktorzy filmowi: Fryderyk March, Sylwia Sydney, Gloria Stuart, John Cromwell i reżyser Ernest Lubicz. Z Polski nadesłali listy z wyrazami solidarności: Maria Dąbrowska, Halina Krahelska, red. Henryk Lukrec, gen. Władysław Sikorski i Wanda Wasilewska.

Polska, znajdująca się obecnie w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa agresji hitlerowskiej, stanowiła z natury rzeczy, przedmiot ogromnego zainteresowania uczestników zjazdu. Dopiero bezpośrednia obserwacja audytorium pozwoliła stwierdzić, jak bardzo oddanego, gorącego i potężnego sojusznika ma w tej chwili nasz kraj w opinii demokratycznej świata: każda wzmianka o nieugiętym stanowisku Polski spotykała się z huraganem oklasków i wyrazami sympatii. Oklaskiwany był gorąco pułkownik Grzędziński, gdy zapewniał, że Polska nie ustąpi Gdańska. Z ogromnym zainteresowaniem słuchano sprawozdania, dotyczącego Polski, na komisji zjazdowej; wreszcie w rezolucji zjazdowej krajowi naszemu poświęcono wiele miejsca.

Doprawdy, byłoby pożałowania godnym i **wyraźnie przeciwnym interesom kraju,** gdyby w Polsce nie okazano dla tego rodzaju inicjatyw międzynarodowych należytego zainteresowania i nie udzielono poparcia ze **wszystkich sił;** na pewno bowiem żaden urząd propagandowy nie zdziałał nigdy tyle dobrego dla Polski, co ta jedna konferencja.

Istotna praca uczestników ogniskowała się w czterech komisjach, przygotowujących wnioski na plenum: 1) komisji zasobów materialnych i moralnych krajów demokratycznych, 2) komisji obrony krajów małych i średnich, 3) komisji obrony kultury i osobowości ludzkiej i 4) komisji skutecznej pomocy dla narodów, będących ofiarami agresji; wreszcie wnioski natury ogólnej sformułować miała komisja generalna.

Sprawy polskie rozpatrywane były na komisji drugiej. Nie można wątpić, że naszego czytelnika zainteresuje szczególnie ta część wniosku komisyjnego, przyjęta bez poprawek przez plenum Konferencji, która dotyczy sytuacji naszego kraju. Toteż przytaczamy ją w dosłownym brzmieniu prawie w całości:

> „Konferencja Międzynarodowa, dotycząca zagadnień aktualnych: pokoju, demokracji i obrony osobowości ludzkiej:
>
> zwraca uwagę rządów i ludów Europy na groźbę wojny, która ciąży przytłaczająco nad Polską ze strony Niemiec hitlerowskich, pragnących dzisiaj, przez gwałtowną zmianę statutu Gdańska, zachwiać bezpieczeństwem Polski, przygotować nowy podział terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, a nade wszystko okazać otwarcie światu, w szczególności zaś Anglii, że Niemcy Hitlera uważają się za zdolne do prowadzenia nadal polityki aneksyj, prowokacyj i hegemonii, mimo słusznego zwrotu polityki Wielkiej Brytanii i Francji i mimo uroczystego apelu na rzecz pokoju oraz współpracy Prezydenta Stanów Zjednoczonych.
>
> **„Biorąc pod uwagę, że naród polski nie może dopuścić i nie dopuści nigdy do zagarnięcia Gdańska przez Niemcy i że, w sytuacji obecnej aneksja Gdańska przez faszyzm hitlerowski byłaby aktem agresji i prowokacji nie tylko wobec Polski, lecz także wobec całej Europy, Konferencja oświadcza, że wszelka skuteczna pomoc winna być gotowa do przyjścia zaatakowanej Polsce z odsieczą, tylko bowiem taka gotowość może powstrzymać Niemcy Hitlera od sprowokowania takiej agresji".**

Rozmawialiśmy z wieloma wybitnymi politykami, działaczami i pisarzami wielu krajów Europy — spotykając się niezmiennie z tym samym objawem żywego, szczerego i gorącego zainteresowania się losami Polski. Niejeden, mimo to skłonny będzie wyrazić niewiarę w realne skutki tego rodzaju uchwał, pobieranych na zjazdach międzynarodowych; otóż by ocenić w pełnym rozmiarze rzeczywiste znaczenie Konferencji, trzeba sobie zdać sprawę z pewnych szczegółów technicznych jej pracy. Każda rezolucja była natychmiast powielana w biurze konferencyjnym i rozdawana wszystkim uczestnikom zjazdu. Około pięciuset wybitnych osobistości, mających niezaprzeczony wpływ na opinię swoich społeczeństw, zawiezie więc — każda do swojego kraju — również rezolucję dotyczącą Polski, gdzie stanie się ona podstawą relacyj publicznych,

referatów i odczytów. Dodajmy, że Konferencja znalazła także głośne echo w tutejszej prasie.

Dwa dni pracy w „Domu Chemii" dostarczyły olbrzymiego i wprost bezcennego materiału, dotyczącego niebezpieczeństwa faszystowskiego, sposobu działania agentur hitlerowskich, metod prowokacyj wojennych i skutecznych środków kontrakcji.

Usystematyzowanie tego materiału wymaga czasu. Nie można jednak nie wspomnieć wstrząsającego dokumentu naszych czasów, w którym brzmi nuta groźnej przestrogi. Były burmistrz Pragi dr. Boh Vrbenski, senator czechosłowacki i dwaj inni wybitni przedstawiciele demokracji czeskiej nadesłali na kongres depeszę powitalną, w której czytamy między innymi:

> „Los naszego kraju pozwala na sąd o skutkach ustępliwości i kapitulacji przed napastnikami faszystowskimi. Ustępliwość i kapitulacja zachęcają ich do nowych rabunków i gwałtów. Oby się Konferencja Międzynarodowa przyczyniła do tego, by Monachium nie powtórzyło się nigdy więcej i by bezwstydnej agresji faszystowskiej przeciwstawiony został na koniec mur zbiorowego bezpieczeństwa ludów".

Skoro mowa o tragedii czeskiej, dodajemy, że za przytoczonym wyżej wnioskiem polskim **głosowali również przedstawiciele Czechosłowacji.**

Konferencja zakończyła się chóralnym odśpiewaniem Marsylianki przez reprezentantów kilkudziesięciu narodów. Wybitni przedstawiciele literatury, nauki, sztuki, polityki, związani ścisłymi węzłami z opinią swoich krajów, podali sobie na Konferencji dłonie i zwarli je w braterskim uścisku solidarności. **Wszyscy oni są przyjaciółmi Polski** i dali temu publicznie wyraz. Byłoby to — powtarzamy — godne ubolewania, gdyby ta inicjatywa nie znalazła głośnego echa w kraju. Godne ubolewania — ze stanowiska obrony narodowej.

PARISIEN.

Z puścizny Wacława Nałkowskiego

Krytyka „Legendy Młodej Polski"

Fragmenty

III.

Kto, jak Brzozowski, chce walczyć z pierwiastkiem pozaludzkim, nie uporawszy się z ludzkim, ten jest jak inżynier, który każe budować kolej przez okolice bagnisk febrycznych, nie zdrenowawszy ich wprzódy. W takich warunkach tysiące najlepszych robotników zginie od febry. Te rady Brzozowskiego co do pracy wyjaśniają teraz poprawienie się opinii jego w kołach konserwatywnych: przecie' takie same rady daje każdy przedsiębiorca młodemu pracownikowi, którego przyjmuje.

***

Pragmatyści uchodzić chcą za demokratów i sądzą lub udają, że ich filozofia pracy to filozofia proletariatu. Nic mylniejszego: ideałem robotnika jest nie praca mięśniowa, lecz umysłowa. Jeżeli męczennik Syberii wyobraża sobie np. niebo jako takie miejsce, gdzie nie ma czynowników, to robotnik z pewnością takie, gdzie nie ma pracy mięśniowej i fabryk. Tylko przerafinowani rentierzy, udający dla rozrywki nędzarzy lub puszczający się na robinsoniadę gdzieś w puszczy, albo choćby na dachach new-yorskich drapaczy nieba, oraz wyczerpani pracą myślową inteligenci mają taką filozofię i chcą ją narzucić robotnikom, podobnie, jak pragnęliby chłopom narzucić sukmany, gdy oni wolą surduty.

Nie! z jakiegobądź punktu patrzę na filozofię pragmatyzmu, czy z punktu widzenia skutków czy motywów, zawsze dochodzę do jednego: jest to filozofia reakcji, reakcji burżuazyjnej. Czy wezmę też historycznie: stawianie irracjonalnego ponad intelekt! Ależ! — całe dzieje ludzkie (filogenia i ontogenia) wskazują na racjonalizm, na coraz większe opanowywanie irracjonalnego przez intelekt.

***

W człowieku, zwłaszcza przy pewnym braku czy naruszeniu równowagi w organiźmie powstaje pragnienie inności: człowiek myśli, pracy wewnętrznej, pragnie życia czynnego; asceta pragnie szału zmysłowego; hulaka pragnie miłości idealnej, człowiek słabej woli, chwiejnego charakteru — będzie czcił potęgę woli; człowiek pozbawiony zmysłu etyki, modli się do niej jak do bóstwa, jak chory do zdrowia, „które utracił". Moltke oddawał się z zamiłowaniem karmieniu ptactwa domowego, istna Zosia z Pana Tadeusza. Kaci lubią hodować kwiaty. Człowiek rozumny lubi udawać głuptasa i gotów nieraz oddawać pochwały głupocie. Istnieje też pewna kategoria głupców, i to najstraszniejsza, którzy lubią rozprawiać o rzeczach rozumnych.

Są to wszystko ćwiczenia ortopedyczne, zjawiska reakcji biologicznej, której często używa w swych celach reakcja obłudna, pasożytnicza, społeczno-polityczna.

Chorobą Brzozowskiego, jego niepraktycznością życiową można wyjaśnić wiele z myśli jego ostatniego nawrotu ideologicznego.

***

Brzozowskiego można scharakteryzować jako połączenie dziwne znakomitego krytycyzmu względem wstecznictwa polskiego z czcią dla wsteczników zagranicznych (James, Sorel, Wassman). Jest to jakby w dwóch epokach napisane dzieło: w jednej przez Brzozowskiego-bojownika dawnego, w drugiej przez schorzałego, popadłego w reakcję człowieka, czytającego na łożu boleści wstecznych filozofów. Oryginalne, to samo wstecznictwo, które wygania drzwiami (zresztą nie pierwszy), wprowadza oknem jako wstecznictwo zachodnio-europejskie (pierwsze wprawdzie

wprowadzał poprzednio ks. Dębicki i p. Kosiakiewicz, ale ci nie mają tej powagi), ubrane w szaty filozoficzne. Z wygnania nie wiele sobie robi, a tych szat filozoficznych chętnie użyją ludzie; tym sposobem dodaje Kosiakiewiczom nowych sił.

***

Ludzie kultury, którzy przyswoili ją sobie, nie będąc ludźmi czynu, są pasożytami, według Brzozowskiego. Podobnie możnaby nazwać pasożytami np. kartografów, gdyż oni zbierają plony podróżników. Historyk opisujący wojnę, której sam nie prowadził, jest też godzien pogardy (zupełnie przeciwny pogląd niż Wilde'a, który piszących historię więcej ceni niż tworzących ją — tworzą historię nieraz ludzie głupi, piszą mądrzy). A nawet człowiek kulturalny, który nic nie pisze, może mieć wpływ osobisty: czy nie wie p. Brzozowski, jak ludzie kulturalni są poszukiwani przez ludzi czynu, grubszych lub ograniczonych do swego fachu? Ludzie kultury przyciągają jak magnes, nie są więc chyba wielkością négligeable. U Brzozowskiego Czyn jest wszystkim — Myśl niczym. A czyż czyny są niezależne od myśli? Jakkolwiek metodycznie dogodniej jest wziąć czyn za punkt wyjścia i choćby nawet, jak mówi Faust Goethego, „na początku był czyn".

***

Nie wiem dlaczego Brzozowski, który życiu nadaje taką wagę, który wydaje do narodu orędzia, jak ma postępować (czy raczej jak się ma cofać), nie wspomina ani słówkiem o sprawie żydowskiej (nie wiem, czy że „słonia" nie zauważył, czy że był oględny), ale z jego całego programu, z jego ducha: irracjonalnej narodowości, drapieżności itp. wynika, że jego program na tym punkcie wyraziłby się w irracjonaliźmie „bij żydów" — no i ładnie! Nie wypowiada się też jasno w kwestii kobiecej (jest tylko za moralnością płciową), ale z jego tak płytkiego poglądu wynika, że stoi on na stanowisku ks. Niedziałkowskiego: „Nie tędy droga szanowne Panie".

Brzozowski w swoich tyradach o pracy wygląda obrazowo tak: stoi wobec katorżnika okutego w kajdany i zabrania mu walczyć o swe wyzwolenie, ale za to każe mu walić łbem w pozaludzkie, a równocześnie kopać jak najusilniej rudę żelazną na materiał do kajdan.

***

Brzozowski skrzywdzony przez socjalistów i postępowców, zwraca się przeciw nim; krzywda wyrządzona przez narodową demokrację jest odleglejsza, najbardziej zaś boli nas krzywda, doznana od towarzyszy, a największymi wrogami są dawni przyjaciele. Zastanawiając się nad genezą zwrotu Brzozowskiego ku narodowej demokracji, nie można pominąć jego przejść życiowych, które osłabiły organizm, wywołały reakcję biologiczną ku dzieciństwu. Obecne kierunki filozoficzne zachodu dały temu zwrotowi gotową formę (pragmatyzm, modernizm). Nadto z pomocą przyszła tutaj niestała równowaga umysłowa, właściwa Brzozowskiemu. Jego umysł, to jakby amfilada, przez którą przepływają fale różnych prądów, nie zatrzymując się długo. Brzozowski, ceniący tak irracjonalne, jest przeciwnikiem sztuki wzruszeniowej i przepisuje artystom, jak mają tworzyć, opierając się na zbawczym procesie dziejowym. Tak jakby twórczość artystyczna nie była również dziejowym procesem, częścią życia kulturalnego.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce zł. 1.—. w tekście. Za tekstem gr 60

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 498 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.